№ 23.

Warszawa dnia 27 Maja / 8 Czerwca R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

RYS PODRÓŻY

PAŃSTWA BAKER PO AFRYCE ŚRODKOWEJ,

UWIEŃCZONEJ

NAJWAŻNIEJSZEM ODKRYCIEM GEOGRAFICZNEM TEGOCZESNEM, BO ODKRYCIEM

ŹRÓDEŁ NILU.

(Dalszy ciąg.)

Droga do Obbo zdawała się początkowo bardzo dobrą i wygodną, ale po upływie kilku dni stała się nietylko wązką i urwistą, ale nadto ogromne kloce drzewa leżały w poprzek, tak że bardzo często osły nie chciały przebywać téj niespodzianéj zapory i upartsze z nich musiano zostawić na drodze. Podróżni przebyli nareszcie rzekę nazywaną *Kanieti*, poczem wdrapali się na ogromną górę, zkąd rozwinął się przepyszny widok na doliny, lasy, wzgórza z zabudowanemi na ich szczytach wioskami. Góra ta złączona była wąwozem wężykowatym z głównem miastem państwa Obbo, odległem od Tarrangole o mil piętnaście. Klimat zupełnie tu odmienny niż w Latonka, bo przez dziesięć miesięcy pada deszcz. Taka obfitość wody połączona z wielkiemi upałami, wywołuje nadzwyczajną roślinność, tak że trawy ogromne, czynią niepodobną komunikacją a nawet słonie i nosorożce szukają mniéj urodzajnych okolic.

Naczelnik Obbosów wraz z najznakomitszemi podwładnemi swemi, wyszedł na spotkanie przybywającéj karawany. Był to człowiek nader czerstwego zdrowia i silnéj postawy, jednakże bardzo śmieszny, bo pomimo sześćdziesięciu lat wieku chciał zabawiać cudzoziemców rozmaitemi podrygami i niezgodnemi z wiekiem dowcipami. Nie brakło mu jednakże przebiegłości, bo potrafił wmówić w lud przez siebie rządzony, że jest czarownikiem, że od jego woli zależą wszystkie zmiany powietrza, że stosownie do jego rozkazu, deszcz padać będzie lub błyszczeć słońce w całym blasku. Tak jak siłom natury, tak również rozkazuje on i zwierzętom drapieżnym i za stosowną opłatą udziela talizmanów, ochraniających posiadacza od wszelkich niebezpieczeństw. Nie gardzi darami wszelkiego rodzaju, szczególniéj jednak ujętym bywa gdy mu ofiarują za żonę, jaką młodą piękność afrykańską.

Główna wada Katchiby (nazwisko królika) zasadzała się, na korzystaniu z łatwowierności swego ludu, co się zaś tyczy innych stron charakteru murzyna, te były nienaganne i z nadzwyczajną sumiennością postępował względem państwa Baker, a to tak dalece, że anglik z powodu wezbranych rzek zmuszony długo zostać w jego państwie, dla rozerwania się robiąc kilkodniową wycieczkę w głąb kraju, nie wachał się swéj małżonki zostawić pod opieką czarnego królika.

Katchiba widząc dowód tak wielkiego zaufania, postanowił odpowiedzieć mu godnie i dla tego otoczył piękną Węgierkę najtroskliwszą opieką dostarczając jéj aż do zbytku mleka kóz, zwierzyny, przeznaczając kilkanaście kobiet do wyłącznéj jéj usługi, i stawiając w dzień i w nocy przed domem straż honorową. Troskliwość ta Katchiby była powodem chociaż bolesnego, ale zarazem i śmiesznego wypadku,

jaki mu się wydarzył. Jeden z mieszkańców pomimo usilnych próśb i gróźb, odmówił udzielenia dla pani Baker pewnego gatunku kur, które upasione starannie trzymał w kurniku. Gdy wszystkie usiłowania Katchiby w téj mierze okazały się nadaremnemi, przychodzi mu do głowy myśl dziwaczna, którą natychmiast objawił pani Baker.

— Mój lud jest złośliwy — rzekł — głębokim darząc ją ukłonem, nie pojmuje świętego obowiązku gościnności, jeżeli jednak pani każesz mi okulbaczyć jednego ze swych koni, to sądzę że i najupartsi zmiękną, gdy mnie zobaczą jadącego na stworzeniu, jakiego nigdy jeszcze nie widzieli.

Napróżno pani Baker starała się odwieść go od tak dziwacznego zamiaru, dziki nie chciał ustąpić. Następstwa łatwe były do przewidzenia, bo Katchiba nie jeździł nigdy konno, a dalsze podróże odbywał na plecach silniejszych swych poddanych. Na upór jednak nie ma lekarstwa, przyprowadzono więc wierzchowca, wsadzono na niego murzyna, który radosne i dumne spojrzenie rzucał na około. Koniom jednakże europejskim nie brak rozumu, wkrótce poczuł biegun jak niezręczny jeździec ośmielił się go dosiąść. Miłość własna końska została widać obrażoną, bo jak się rozparł tak nie chciał ruszyć ani jednego kroku. Katchiba napróżno zachęcał rumaka do biegu. Jeden z arabów szepnął:

— Biczem konia a silnie, to pójdzie.

Stary murzyn posłuchał zdradzieckiéj rady, i już nie biczem ale biczyskiem uderzył silnie konia po łbie, który za całą odpowiedź schował głowę między przednie nogi, a tylnemi podrzucił w górę tak niespodzianie, że Katchiba oderwany gwałtownie od grzbietu końskiego, osobą swoją zakreślił łuk w powietrzu i padł o kilka kroków na ziemię.

— Nie wiedziałem że koń jest tak wysoki, rzekł podnosząc się zwolna, krzywiąc i kulejąc.

Opatrzono potłuczone członki, podano mu napoju krajowego w rodzaju piwa dla pokrzepienia sił, i w kwandrans potem murzyn dosiadł osła, nie chcąc z koniem więcéj się bratać.

Ostrożniejszy jednak tą razą na ośle, kazał się trzymać dwom ludziom — i tym sposobem odbył podróż, która rzeczywiście powiodła się najzupełniéj. Murzyni bowiem widząc swego królika jadącego po raz pierwszy na stworzeniu tak krzykliwem, upokorzyli się i wkrótce kuchnia pani Baker była zaopatrzoną obficiéj jeszcze niż zazwyczaj.

Nareszcie pora deszczów szczęśliwie przeminęła, należało puszczać się w dalszą podróż; Katchiba nie szczędził rozmaitych talizmanów, jakiemi obdarował podróżnych przeciwko niebezpieczeństwom rzeczywistym i urojonym, nareszcie sam ich odprowadził na granicę swych posiadłości. Z opisu tych okolic okazuje się, że klimat jest niezdrowy, lud w ogóle ubogi, a prawdziwą plagę mieszkańców stanowi muszka niebezpieczna o któréj pisze i Livingston że jéj ukąszenie zadaje śmierć koniom i wołom, a ludzie i kozy wolne są od wszelkich niebezpiecznych skutków ukąszenia.

W dniu 5 Stycznia 1864 r. karawana opuściła Obbo przerzynając Taradjokie. We trzy dni późniéj przebyła ona rzekę Asnę, któréj łożysko ówcześnie było prawie zupełnie suchem i następnie weszła w granicę kraju nazywanego Shoa, odznaczającego się przepysznemi łąkami. Mieszkańcy tamtejsi nie znali jeszcze chytrości, przebiegłości handlujących kością słoniową, to też z całem zaufaniem wybiegli na spotkanie cudzoziemców, znosząc rozmaite artykuły żywności, drogie przedmioty, które chętnie oddawali za malowane szkiełka. Uprzejmość ich względem przybyłych była nawet nudzącą, bo powitanie zasadza się na trzykrotnem podniesieniu rąk osoby witanéj w górę po nad głową.

Każden z krajowców chciał dopełnić tak ważnego obowiązku grzeczności, co nareszcie tak zmordowało europejczyków a szczególniéj panią Baker, że ta czemprędzéj kazała siodłać woły; aby uniknąć dalszych powitań.

W dniu 22 Stycznia podróżni przybyli do jeziora nazywanego Wiktorja. Nil, który po raz pierwszy odkrył Speke. Za każdym krokiem okolice stawały się piękniejszemi, a droga dogodniejszą, bo olbrzymie rośliny nie tamowały przejścia, a rozłożyste drzewa udzielały tak miłego chłodu w gorących okolicach.

Podróżni doszli nareszcie do granic państwa Ounyozo rządzonego przez króla *Kamrasi.* Należało przejść na drugą stronę Nilu, gdy niespodzianie ukazało się mnóstwo krajowców uzbrojonych w piki, którzy zdawali się bardzo niezadowoleni z nadejścia nieproszonych gości. Nie można się dziwić takiéj postawie nieszczęśliwych murzynów, bo w roku zeszłym karawana do której należeli Speke i Grant, postąpiła zdradziecko względem tubylców, zabierając im nie tylko bydło, ale nadto uwożąc gwałtem kobiety i dzieci.

Pan Baker oświadczył krajowcom, że przybywa w zamiarach przyjacielskich, że liczna eskorta posługuje tylko do obrony licznych darów jakie wiezie ich królowi Kamrasi, a które łatwo mogłyby obudzić chciwość innych pokoleń.

Oświadczenie tego rodzaju uspokoiło podejrzliwość krajowców, którzy po krótkiéj naradzie, zgodzili się przewieźć na drugą stronę rzeki, państwa Baker, Jbrahiba i kilku ludzi do ich posługi. Skoro łódka dosięgła przeciwnego brzegu rzeki, natychmiast zabrzmiała muzyka składająca się z rogów i piszczałek, i głośne okrzyki powitały wysiadających na ląd. Poprzedzani przez kilkunastu ludzi niosących pochodnie, obok mając straż złożoną z żołnierzy uzbrojonych w piki, państwo Baker zbliżali się do domu zajmowanego przez naczelnika kraju. Spostrzegli że ludność tutejsza okazywała pewne ślady cywilizacyjne; mężczyzni ubrani byli w suknie wyrobione z kory drzewnéj, któréj krój przypominał tuniki rzymskie; kobiety zaś nosiły podwójną spódnicę dosyć zgrabną, a prócz tego zakryte były od szyi do pasa pewnym rodzajem szala, który zgrabnie okalał kibić. Mieszkańcy prócz tego okazywali wysokie pojęcie grzeczności towarzyskiéj, tak w rozmowie jak i w całem zachowaniu się. Pomimo tego jednak nie chcieli udzielić żadnych objaśnień geograficznych, przytaczając na swe usprawiedliwienie, że Kamrasi zabronił im mówić o tym przedmiocie". Kobiety i dzieci również były przezornemi, a zapytywani starcy odpowiadali z łagodnym uśmiechem „jesteś-

my za młodzi aby znać okolice sąsiednie, pytaj się starszych od nas, a oni objaśnią cię o wszystkich szczegółach".

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Dzienniki paryzkie podały w tych czasach nadzwyczajnie ciekawą wiadomość dotyczącą, wprawdzie bardzo odległych stron, bo aż cesarstwa chińskiego inaczéj nazywanego niebieskiem, ale pomimo tego bardzo interesującą dla tych wszystkich, dla których nie jest obojętnym rozwój cywilizacyjny całéj ludzkości. Wiadomą jest rzeczą, że naród chiński liczący kilkaset miljonów ludności, wytworzył daleko wcześniéj niżeli ludy europejskie, świetną cywilizacją sobie właściwą, która obejmowała wszelkie gałęzie wiedzy ludzkiéj. Nie można więc zaprzeczyć temu narodowi, pewnego gienjuszu, który jednakże doszedłszy do ostatnich krańców możliwego dla siebie rozwoju, począł karłowacieć, a zużywszy cały zapas twórczości, zmuszonym został ograniczyć się na niewolniczem naśladownictwie poprzednich pokoleń. Skoro naród nie jest w możności stąpać samoistnie po drodze postępu, to jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby starał się przyswajać prace inszych narodów, umiejętnie zbierając to wszystko, co jest dobrem, pięknem i pożytecznem, a unikając starannie tego wszystkiego co jest szpetnem i szkodliwem. Pycha nadzwyczajna jaką przejęty jest naród chiński, nieniedozwalała mu zastosować powyższéj zasady tyle zgodnéj z prawidłami zdrowego rozsądku. Chińczycy uważali siebie dotychczas za najpierwszy naród w świecie, podnosili swoje zdolności do niesłychanéj potęgi, upatrywali sami w sobie wszelkiego rodzaju przymioty, a skutkiem tego z dumą i pogardą spoglądali, nie troszcząc się zupełnie o inne części świata, zamieszkałe wedle ich zdania przez barbarzyńców. Skoro jaki chińczyk zabłąkał się wypadkowo na grunt europejski, to obojętnie a nawet pogardliwie spoglądał na najznakomitsze dzieła ludów aryjskiego pochodzenia, a ciągle miał na ustach: u nas to jest piękniejsze, u nas to jest większe, u nas to jest świetniejsze, a to tak dalece, że nawet kiedy była mowa o jesiennem błocie w Paryżu, to Chińczyk rzekł z dumą i powagą: u nas błoto jest daleko większe. Zdaje się jednak że ostatnie wypadki wojenne, w czasie których kilkotysięczna armja europejska zajęła Pekin i zmusiła cesarza do opuszczenia swéj stolicy, wpłynęły wiele na zmianę wyobrażeń o wielkości chińskiego narodu. Pojął on nareszcie, że ludy którémi gardził są silniejsze i potężniejsze, że trzeba zapomnieć o roli nauczyciela, a przybrać skromną rolę ucznia: że zaciekły konserwatyzm nie jest postępem, że nareszcie należy zasilić wewnętrzny organizm narodowy pokarmem czerpanym na obcym gruncie, leżącym aż po drugiéj stronie Oceanu. Powyższe rozumowanie opieram na dowodzie niezaprzeczonéj powagi, złożonym cesarzowi przez członka rady Tsongs-li-ya-men (członek szkoły rozmaitych języków) dotyczącym utworzenia w Pekinie szkoły europejskiéj, któréj program szczegółowo opracował podający memorjał. Motywa podane przez niego są tak ciekawe, że uważam za właściwe przytoczyć je w główréj treści.

Przedewszystkiem szanowny członek przypomina, że projekt utworzenia oddziału naukowego obejmującego specjalnie nauki matematyczne, złożył cesarzowi przed kilkoma miesiącami, i że opracowanie to uczyniło przychylne wrażenie na monarsze.

Daléj wyraża się w sposób następujący:

Oddając pod szczególną opiekę waszéj cesarskiéj mości nauki matematyczne, Tsongs-li-ya-men nie jest powodowanym ani zamiłowaniem nowości, ani też nieusprawiedliwionem zamiłowaniem tego rodzaju nauk, ale jedynie z téj przyczyny, że doświadczenie nauczyło, iż umiejętności te posługują znakomicie, do wyrobu rozmaitych narzędzi pożytecznych w czasie wojny do obrony lub zaczepki, a w czasie pokoju do wygody i ozdoby. Naród nasz życzy sobie zbudować flotę parową, ale do przeprowadzenia tego dzieła sama wyobraźnia choćby najbujniejsza nie wystarczy, tylko potrzeba żeby *professorowie europejscy* objaśniwszy podstawy naukowe, wskazali zarazem drogę praktycznego zastosowania wyłożonych zasad. Nie wątpiemy, że uparte stronnictwo starochińskie, zechce zaszczepić w umyśle waszéj cesarskiéj mości, pewną nieufność do naszego projektu, dowodząc, że nie mamy zaufania we własny gienjusz narodowy, że pomiatamy tradycją i obyczajami nowemi, że chcemy wprowadzić w organizm państwa odwiecznego obce pierwiastki, które posłużą nie do jego pokrzepienia, ale chyba do jego rozkładu. Ludzie rozumujący w sposób powyższy okazują, bardzo jasno, że nie wiedzą co się w świecie dzieje, że horyzont ich oczu jest zarazem i horyzontem ich umysłu. Chiny aż dotychczas usiłowały stąpać samoistnie na drodze postępu, zasada tego rodzaju niegdyś bardzo zbawienna, z postępem czasu traciła na swéj wartości, bo z każdym dniem okazywało się coraz jaśniej, że gienjusz nasz narodowy wytworzył już wszystko do czego był zdolnym, że następnie okazał się martwym wtenczas właśnie, kiedy gienjusz europejski wzmagał się z dniem każdym; że zatem aby odzyskać dawną samoistność i stanąć na wysokości postępu, potrzeba przedewszystkiem przyswoić sobie owoce prac europejskich i drogą naśladownictwa dojść do samodzielności. Nie jesteśmy pierwsi, którzy w podobny sposób zapatrują się na dzisiejsze stanowisko Chin, bo znakomici ludzie jak np. Ly-hong-thang i Tso-tsang robili podobne przedstawienia waszéj cesarskiéj mości, my zatem jesteśmy tylko echem tych dwóch znakomitości naszych. Jeden chciał urządzić fabrykę odlewów żelaznych, drugi chciał urządzić szkołę matematyczną, a zatem podpisani chcą tylko swoim pismem wesprzeć ich usiłowania. Dla czego nie mamy od Europejczyków nauczyć się budowania okrętów parowych? Dla czego nie mamy u nich zakupić rozmaitego gatunku broni siecznéj i palnéj, a tylko przez źle zrozumianą dumę narażać się na daremną pracę, koszta i zawody nieuniknione?

Ci co sądzą, że Europa nie ma nic do udzielenia Chinom jak tylko rozmaite narzędzia wojenne, to mylą się bardzo, ale gdyby nawet tak było, to dla-

czegóż nie mamy wziąść tego od obcych na czem nam zbywa? Europa główne podstawy swéj cywilizacji nie wytworzyła samoistnie, ale pożyczyła od nas a przynajmniéj ze wschodu. Pierwotne te wiadomości rozwinęła, pogłębiła, rozszerzyła, ale zawsze grunt jest chiński, a tylko wyrosłe na nim drzewo można nazwać europejskiem. Nauki moralne, matematyka, astronomja, mają jedno wspólne źródło na całym świecie, a ojczyzną tego źródła są Chiny. Biorąc zatem od Europejczyków dzisiaj, odbieramy nawet bez procentu ową pożyczkę, którą oni u nas zaciągnęli, a która okazała się dla nich tak korzystną.

Ci co utrzymują że chińczycy poniżą się przyjmując cudzoziemców za nauczycieli, zapominają że nic tak nie poniża człowieka jak niewiadomość. Zwróćmy uwagę, że Japonja pojęła już całą korzyść zastosowania u siebie wynalazków europejskich i wysłała oficerów celem zebrania potrzebnych wiadomości. Ze wszystkich więc narodów jedni tylko Chińczycy pozostaną w tyle, aby z dawnéj chwały i wielkości stać się celem pośmiewiska i wzgardy innych narodów, które umieją przyswajać pożyteczne wynalazki.

Przewidujemy zarzut innego jeszcze rodzaju. Powiedzą zapewne niektórzy, że budowa okrętów to praca mechaniczna, nie ma więc żadnéj potrzeby rozpoczynania wykładów naukowych. Odpowiemy na to, że w staréj księdze wydanéj pod tytułem Tchéou-li, jeden rozdział poświęcony jest robotom ciesielskim, który ludzie uczeni odczytują z prawdziwą przyjemnością, a to dla téj przyczyny, że prosty robotnik wykonywa wskazaną pracę mechanicznie, a człowiek ukształcony rozumie dokładnie prawa zasadnicze, na których ta robota jest opartą.

Oczekujemy z najwyższem uszanowaniem odpowiedzi Waszéj Cesarskiéj Mości, załączając przy niniejszym cały plan urządzenia szkoły na sposób europejski, tak co do wykładu naukowego, jakoteż co do przyjmowania i utrzymywania uczniów.

Oto jest ów dokument, który przytoczyliśmy w główniejszych ustępach, a który według wszelkiego prawdopodobieństwa, otworzy podwoje dotychczas zaparte dla światła i cywilizacji europejskiéj. Należy jednak przyznać, że teorja etnografów o ludach wschodnich, znajduje usprawiedliwienie w piśmie professorów chińskich, bo wyraźnie piszą oni, że tylko trzeba nauczać co ma praktyczne zastosowanie, że zatem przyswajać chcą oni jedynie stronę materjalną cywilizacji europejskiéj bez przejmowania się ideami dotyczącemi układu społecznego.

Po téj niespodzianéj wycieczce do Pekinu wracając na grunt europejski, wypiszemy niektóre ustępy z nowego dzieła historycznego, wydanego pod tytułem *Souvenirs de la Malmaison*, które tak treścią jakoteż i formą swoją nadzwyczajnie nas zajęło. Wiadomą jest rzeczą, że Cesarz Napoleon I. rozwiódł się z pierwszą swoją żoną Józefiną, celem zawarcia związków małżeńskich z Marją Ludwiką. Rozwód dopełnionym został po napoleońsku, to jest szybko i bez wachania się, — Józefina na pozór obojętna schroniła się do Malmaison, ale rana serca nie była zagojoną, i w chwili nawet śmierci już bezprzytomna, wymówiła trzy wyrazy, które wyjawiły jéj wszystkie przeżyte cierpienia: nazwisko tego, który ją odepchnął rozmyślnie od swego łona, nazwisko wyspy naznaczonéj na jego mieszkanie i nazwisko kobiety, która dla względów politycznych i bez współ udziału serca, zajęła miejsce nieszczęsnéj pustelnicy. Napoleon I. po powrocie z wyspy Elby i przed rozpoczęciem ostatniéj swéj kampanij, postanowił pojechać do Malmaison, aby spędzić kilka dni w miejscu gdzie żyła i umarła ta, która go kochała aż do ostatniéj chwili życia, i któréj wartość nauczył się cenić dopiero w nieszczęściu i poniżeniu. Książe Eugenjusz znajdował się wówczas w Niemczech, królowa zatem Hortensja wierna zawsze gwiazdzie napoleońskiéj, miała czynić honory domu. Cesarz pojechał do Malmaison w towarzystwie panów Molé i Denon i półkownika Labedogére. Sama miejscowość uczyniła na nim silne wrażenie, tam bowiem spędził najszczęśliwsze chwile swojego życia. Gdy wszedł do przedsionka, wzruszenie powiększyło się tak dalece, że musiał szukać wsparcia u jednego z obecnych.

(dokończenie nastąpi).

POGADANKA TYGODNIOWA

Ogród Saski prawdziwie w godowych szatach, prześliczny! Można go nam zazdrościć, jako osobliwości nieporównanéj z żadnym publicznym ogrodem całéj Europy. Grupowanie kwiatu na olbrzymich kasztanach od wierzchołka aż do dołu, zielone ściany drzew i krzewów tu i owdzie niebieszczących się bzem rozkwitniętym, zamurawione trawniki, woń unosząca się dokoła, robią go tak uroczym i powabnym, że się nim ani dosyć nacieszyć ani nachwalić niepodobna. Gdyby jeszcze zagajniki były krzewistsze jak to niegdyś bywało, gdyby więcéj posiano kwiatów, choćby rezedy, gieorginji, astrów, maku i tym podobnych, więcéj dano ławek, i na dnie sadzawki zamiast kompasu urządzono z wązkiemi dróżkami ogródek kwiatowy, z ogrodzeniem zwyczajnem ułożonem ze szczebelków splatanych jak plecionka, ogród Saski stałby się ra-

jem, zwłaszcza że często brylantuje się oczami, jakich i Ewa mogłaby pozazdrościć.

Utrzymanie porządku i baczność ciągła, drobiazgowa pilnująca z jedną czujnością tak całości listka jak i drzewa, jest tu konieczną i niezbędną. Służba miejscowa nie podoła jeżeli publiczność nie przyjdzie jéj w pomoc, co zarząd ogrodu pojmując, pomieścił na bramach wchodowych ogłoszenie, upraszające o współudział. Szkoda że wezwanie podobne, nie pomieszczono na małych słupkach w różnych punktach ogrodu: na bramie zawieszone nie łatwo wpada w oczy. Czy ta grzeczność właściwie zostanie oceniona, zdaje się że wątpić byłoby grzechem: a jednak coś mi szepcze że stanę się grzesznikiem.

Gdyby wykonanie owéj opieki, wymagało tylko spojrzenia i to jednem okiem, bo dwoma może byłoby za wiele; gdyby póżniéj samo poruszenie ręki lub co najwięcéj pogrożenie palca, było dostateczne do poskromienia szkodnika, ha! to może choć z biedą wyrobiłaby się tak pożądana pamięć na rzecz porządku i całości publicznéj. Ale że tu trzeba nad szkodnikiem przystanąć, połajać, czasem poswarzyć się, objaśnić i przypilnować skutku swojéj obrony, to troszkę za wiele, nie każdy znajdzie do tego i czas i ochotę.

Już to z tym brakiem czasu w Warszawie, czyste skaranie Boże.

Od drzemiącego nad Wisłą szubrawca, do pana o złocistych salonach każdy narzeka na brak jego.

— Mój bracie — rzekłem do jednego dłubiącego słomką w zębach — zanieś mi pudło, weźmiesz go pod pachę.

— A daleko? — zapytał nie wyjmując słomki i ręce pakując niby w boczne kieszenie, czyli dziury jakiegoś letniego na sobie łachmana.

— Na Nowy-Świat zaraz przy Chmielnéj — odrzekłem.

A co pan da?

— Bez długiego gadania, dam półzłotka.

— Ej! nie mam czasu — odrzekł leniwiec — za półzłotka będę pędził tyli sztuk drogi, to się nieopłaci.

I nie poszedł.

— Mój Stanisławie — rzekłem do stróża, już od godziny najspokojniéj siedzącego na szlabanie — dla czego nie zamieciesz schodów?

— A bo to ja mam czas? Roboty zawsze po uszy, to mi schody nie siedzą w głowie.

— Moja Małgosiu — dlaczego mi wszystkich pism i gazet nie kładziesz na stoliku, tylko zostawiasz w jadalni, na zgubę i poniewierkę?

— Albo ja mam czas chodzić tak daleko? — odrzekła z urazą zagadnięta. Jadalnia znajduje się tuż przy mojéj pracowni, a panna Małgorzata pół dnia stoi w bramie, a drugą połowę prześpi i prześmieje, i trzy kroki więcéj, już dla niéj zadaleko.

— Panie gospodarzu zmiłuj się i pomyśl o naszych piwnicach — rzekłem do właściciela domu.

— A! panie łaskawy, albo to ja mam czas czy co? Właśnie grał w tenczas w preferansa ledwo że nie od południa. Chcąc się jednak mnie pozbyć, odesłał do rządcy. Rządca także nie miał czasu i odesłał do gospodarza czysta wędrówka od Kaifasza do Ananasza. Słowem gdzie się tylko zwrócić, ten brak czasu prześladuje cię wszędzie, każdy się nim wymawia, osłania jak puklerzem, i nudząc się, ziewając, z założonemi rękami na piersiach, każdy czy z siekierą lub piłą w ręku, czy w koronkach lub aksamitnym szezlągu, czy z piórem, igłą lub łokciem, brakiem czasu wytłómaczy wszystko, a szczególniej czego nie zrobił i czego zrobić nie ma ochoty.

To nasza plaga społeczna, biorąca źródło, w zastarzałym wstręcie, do wszelkiego trudu i mozołu, co kropli czoła potem pracy, i odrywa od zabawki i spoczynku.

Dla tego do piórka, do lekkiéj pracy ochotników jak szarańczy, ale do cięższéj i mozolnéj, gdzie i ręki i głowy trzeba przyłożyć, jak nas nie było tak nie ma. Powiedz młodemu dumającemu ze zwieszonym nosem o swojéj przyszłości, weź się do rzemiosła, handlu, przemysłu, naucz się tego lub owego, przysiedź fałdów niedospij, niedojedz, porzuć zabawki i marnowanie czasu, a będziesz miał w przyszłości chleba po uszy, nawet powóz, konie i pełną szkatułę, to się skrzywi jak nieszczęście, sapnie jak wół w jarzmie, spojrzy jak bazyliszek, czasem przyzna słuszność, częściéj wykręci się na pięcie a zawsze pomyśli sobie:

— Łatwo radzić ale nie wykonać. Dobre to wszystko, ale nim słońce wzejdzie rosa oczy wyje. Byle gdzie zawieszę się, potem bogato ożenię, ot i będę szczęśliwy. Do ręcznéj pracy zupełnie nie mam popędu.

Drugą plagą u nas, jest jakieś skrzywione pojęcie własnéj godności, od małego dziecka łykane z powietrzem; przerabiane na krew i potem gangrenujące wszystkie żywotne soki, dające rozum głowie a zacność sercu. Kilka dni temu, w ogrodzie Saskim byłem świadkiem zajścia w gronie młodych panieneczek.

— Dla czegóż panna nie chcesz się z nami bawić? —pytała jakaś blondyneczka przyzwoicie ubrana, drugiéj równéj sobie wiekiem, ale przystrojonéj już z pewnym zbytkiem.

— Dla tego że nie chcę.

— Ale dla czego?

Zagadnięta nic nie odrzekła, tylko uśmiechnęła się z pogardą, i odchodząc mruknęła głośno:

— Mój ojciec ma sklep i kamienicę i ja mam się bawić z jakąś tam córką fabrykantki.

Małe to zdarzenie jasno pokazuje, w jakiéj atmosferze wychowujemy dziatki, — widać że przypowieść Ewangeliczna o Samarytaninie zawsze dla nas będzie nowością.

O UBIORACH

W rozmiarach tegorocznych sukien, widzimy dwie ostateczności: jedne nadzwyczaj długie, służą wyłącznie prawie do powozu — nie podobna w nich wyjść na ulicę, bez narażenia ich na rozdarcie lub poplamienie, z powodu wielkiéj ich objętości i miejsca jakiego potrzebują; inne znów suknie krótkie i opięte, właściwe są tylko dla bardzo młodych osób, dla starszych zaś i poważniejszych zupełnie niestosowne. Otóż panny Kuhnke umiały z właściwym sobie gustem pogodzić te dwie ostateczności, z ich magazynu wychodzą suknie, które może włożyć każda osoba, jakiegokolwiek wieku, bez narażenia się na śmieszność. Suknie do wyjścia na ulicę, sięgają zaledwie ziemi, nie potrzebują zatem być podciągane, ani podpinane w festony. Opiszemy tu jedną z nich przeznaczoną dla młodéj panienki. Suknia ta z tkaniny wełnianéj z jedwabiem, w jasno—popielatym kolorze miała nad obrębem oznaczone dwa rzędy głębokich zębów, pliskami z różpwego fularu. Z pod tych plisek wychodziła biała koroneczka kluny. Staniczek z tyłu wysoki z przodu zaś wycięty czworograniasto objęty był pliską: koroneczka wychodząca z pod niéj zastępowała kołnierzyk: Rękawki wązkie, ścięte od łokcia, przybrane były u ręki trzema rzędami plisek. W górze rękawa szły w podłuż cztery bufki (*crevets*) przedzielone i objęte różową pliską w zęby. Dopełnia przybrania pasek różowy, zakończony w tyle kokardą. Szarfy od paska szerokie na półtory ćwierci, długie zaledwie na łokieć, objęte były koroneczką.

Inna suknia także sięgająca ziemi, przeznaczona dla osoby znacznie starszéj, orzechowa alpagowa, miała spódniczkę zakończoną u dołu wolantem fałdowanym, w proste kontrafałdy. Po bokach spódnicy — szły równolegle po trzy plisy, z materji w ciemno-brązowym kolorze — ostatnia plisa z boku zaokrąglała się ku tyłowi i przechodziła w koło sukni nad wolantem; bliższe plisy, zawracały się także, te dochodziły tylko do dalszych. Paletocik szeroki, dęty, nie zbyt długi, oznaczony był po bokach trzema plisami zaokrąglonemi do tyłu, z pod których wychodziła falbanka. Tył paletocika, cokolwiek dłuższy, nie miał falbanki — przód także zupełnie był gładki, spięty od góry do dołu na „guziki" szmuklerskie.

Zwróciły też uwagę naszą w magazynie panien Kuhnke, śliczne letnie okrywki białe muślinowe w kształcie peplum, z zębami spadającemi po bokach. Garnirunek do koła, stanowi wstawka kluny, na podwleczeniu ze wstążki niebieskiéj, różowéj albo lilla; z pod tego wychodzi koronka, mniéj lub więcéj szeroka.

Główną ozdobą peplum jest zgrabny kapturek, przybrany koronką, ściągnięty na wstążeczkę w odpowiednim kolorze, z długo spadającemi końcami. Nic świeższego na lato, nad taką okrywkę, cena jéj nie zbyt jest wysoka, szczególniéj jeśli zamiast prawdziwéj kluny, użyje się naśladowanéj, która niemniéj ładnie wygląda, kapelusik do tego illuzjowy, krepowy albo włosiany z różyczką, powojem lub bukiecikiem polnych kwiatów z kłosami, ślicznie dopełni stroju.

Woalki w tym roku najmodniejsze są dwojakie: albo wycięte u dołu w pięć śpiczastych zębów, zakończonych grelotkami; albo też małe pół okrągłe — z dwoma długiemi szarfami, które się spinają w tyle na warkoczu — i spadają poniżéj pasa.

Jak jedne tak drugie, robią zwykle czarne, wyszywane pacioreczkami.

W parasolikach wielka panuje rozmaitość.

Do powozu używane małe jedwabne z rączką białą, z kości słoniowéj, przystrojone w górze kokardą z długiemi końcami, albo też powleczone koronką czarną na materji białéj lub kolorowéj. Do najstrojniejszych należą białe kluny, na kolorowem podwleczeniu. Do wyjścia na ulicę powszechnie przyjęte parasolki średniéj wielkości — zwane *en tout cas*, to jest mogące zarazem zabezpieczyć od deszczu. Robią je z ciemnéj materji, orzechowéj albo brązowéj. U tych rączki bywają dębowe rzeźbione, lub z rogu nosorożca. Na wieś albo do wód najwięcéj używane parasoliki z niewarowego fularu, podbite materją szafirową albo zieloną; rączka u nich toczona drewniana. Robią takież same, z niewarowego batystu i żaknotu.

Do podróży i do wód zalecamy także długie płaszczyki korcikowe, w kolorze ciemno-popielatym, brą-

zowym i. t. p., — powszechnie teraz przyjęte za granicą. Robią je zwykle w formie burnusów, szerokie, spięte od góry do dołu na guziki; — do niektórych dodają rękawy dosyć obszerne, ściągnięte u ręki na elastykę. Kapturek okrągły przymarszczony, zarzuca się na kapelusz. Taki płaszczyk zabezpiecza zarówno od kurzu jak i od deszczu.

W muślinkach i perkalinach nigdy nie widzieliśmy takiéj rozmaitości, jaką uważamy w tym roku, i nic w tem dziwnego: fabrykanci francuzcy usiłowali prześcignąć jedni drugich w tych przedmiotach, wykonanych na wystawę, z tąd wybór musiał być ogromny.

Z magazynu pana Penkali wyliczemy naprzód perkaliny w większy deseń, właściwe na ranne szlafroczki:

Biały w pąsowe pasy szerokie na palec, przez te pasy przechodzą jakby żyłki marmuru.

Szamoa w szerokie czarne pasy; na pasach rzucane kłosy jęczmienia.

Biały w lilla pasy jakby złożone z piórek.

Takiż sam niewarowy, w pasy brązowe.

Biały w pasy koloru orzechowego, na pasach rzucane białe kwiatki.

Szamoa w czarne girlandy, dawane w szerokich odstępach.

Biały w rzut z suchych liści — wielkości naturalnéj.

Biały w czarny i popielaty deseń, tworzący jakby naszycie z pereł.

Biały w czarne punkciki, na tem rzucane czarne liście z popielatem do cieniu.

Biały w seledynowe pasy w deseń.

Biały w mocno niebieskie pasy w marmurek.

Szamoa w pasy czarne z białem, naśladujące wstążkę.

Szamoa w białe pasy, tworzące szeroką pletnią, każdy pas biały, oddzielony pomarańczową obwódką.

Biały z czarnym cały w deseń pleciony.

Biały w rzucane bławatki niebieskie; takiż sam w bławatki pąsowe, zielone albo lilla.

Popielaty w szerokie białe pasy.

Biały w pasy czarne z szamoa.

Biały w czarne igiełki na tem w odstępach, paski czarne w deseń.

Biały w różnokolorowe gałązki w rodzaju perskim.

Biały w delikatne czarne punkciki i w drobne prążki czarne, na tem rzucane w odstępach kółka fioletowe.

Biały w czarny marmurek, na tem paski czarne i pomarańczowe.

Biały nakrapiany fijołkowo, w potrójne fijołkowe paski. Takiż sam biały z zielonym.

Kukurydzowy w białe paski, na tych rzucane kółka czarne. Takiż sam w kolorze niewarowym i popielatym.

Ciemno niewarowy w białe paski, złożone z prążków.

Biały w pasy szamoa, na pasach grecki czarny deseń.

Biały w delikatne prążki szare i w rzucik z polnych kwiatków.

Szamoa w rzucik z drobnych wianeczków. Takiż sam na tle szamoa.

Wszystkie te perkaliki, jak mówiliśmy, najwłaściwsze na ranne szlafroczki. Teraz wyliczemy inne w drobniejszy deseń, wyborne na spódniczki z paletotami i na suknie dla młodych panienek.

Biały w kratkę złożoną z centek różnokolorowych.

Szamoa w rzucik tworzący różnokolorową mozajkę.

Biały w delikatne paski mocno niebieskie, między temi rzucane bukieciki z polnych kwiateczków.

Biały w groszek pomarańczowy z czarnym.

Biały w paski czarne i w rzucik z kwiatków fijołkowych.

Biały w mozajkę czarną z fijołkowym i popielatym

Biały nakrapiany lilla w czarne i lilla paski.

Biały w paski pąsowe w deseń.

Biały w pasy fijołkowe w deseń grecki. Takiż sam w paski szafirowe.

Szamoa w czarne kropki, i w tureckie palemki.

Biały w czarne i pąsowe paski w deseń, dawane na przemiany. Takiż sam w paski czarne i pomarańczowe.

Kukurydzowy w czarne kółka.

Biały w groszek zielony z czarnym.

Biały w czarne punkciki, na tem paski z drobniuchnych kwiateczków w guście perskim.

Szamoa, paski w z listków fijołkowych. Takiż sam w paski z listków zielonych.

Biały w paski z listków pąsowych z czarnem.

Biały w paski czarne, pomiędzy temi rzucane pączki róży, fijołkowe z zielonem.

Biały w mozajkę czarną z zielonem i niebieskiem.

Biały w orzechowy marmurek, na tem paski fijołkowe z orzechowem.

Biały w czarne gałązki koralowe. Takiż sam na tle niewarowem i szamoa.

Biały w kropki różnych kolorów i rozmaitéj wielkości mięszanych razem. Inny w różno kolorowe kółeczka.

Z pomiędzy tych perkalików niektóre właściwe wyłącznie na koszule męzkie na rano: do tych liczemy drukowane w głowy piesków i kotków, oraz w paseczki czarne i pąsowe, złożone z małych pików, trefli — etc.

Zwróciły także uwagę naszą, dymki w drobny rzucik na tle białem. Oprócz tego drukowane na nich wiązki kwiatów polnych, rozmaitéj wielkości, lub też ciągniony deseń perski. Podobały nam się szczególniéj w rzucik z różnokolorowych fijołków lub goździków.

Cena tych perkalików po kop. 45 i 50 łokieć.

Na muszlinach klarownych, uważaliśmy, szerokie pasy, naśladujące wstążkę niebieską lub różową, okręconą niby sznurami lawowych paciorek. Inne znów miały pasy z kłosów i bławatków, inne rzut z wielkich kwiatów lub suchych liści.

Cena muślinów od kop. 45 do 60.

OPIS RYCINY KOLOROWANEJ.

Figura 1. Suknia popielata z letniéj półjedwabnéj popeliny o dwóch spódniczkach. Każda z nich objęta u dołu dwoma pąsowemi rulonami, między któremi idą kwadraciki aksamitne czarne wycinane w maszynie. Stanik pod szyję spięty w tyle, z przodu podłużnie otwarty, przybrany na wykroju odpowiednio do spódnicy. Pasek takiż sam. Baskina wycięta w wielkie śpiczaste zęby, stosownie przybrana. Rękawy obcisłe, mankiety i epolety naszyte rulonem pąsowym i kwadracikami czarnemi. Kołnierzyk stojący, — krawatka czarna. Kapelusik okrągły czarny słomkowy, przybrany aksamitem na pąsowéj materji, z boku biała kitka. Końce pąsowe związane z tyłu pod warkoczem.

Figura 2. Spódnica jedwabna jasno szafirowa. Na wierzch suknia czarna z ciężkiéj materji gładkiéj, krajanéj w kliny, wycięta u dołu w wielkie okrągłe zęby. Naszycie na zębach z pletni i paciorek lawowych, brzegiem grelotki z sieczki. Stanik czarny, przybrany przez środek pliską szafirową, spiętą na czarne lawowe guziki. Pasek naszyty pasmanterją i paciorkami. Rękawy długie szafirowe — całe naszyte w poprzek pletnią czarną w odstępach. Na zszyciu od strony łokcia rząd czarnych guzików. Kapelusik czarny tiulowy, płaski, przybrany z tyłu szeroką koronką (mantille) spadającą na warkocz. Szarfy niebieskie przepięte różą białą. Kołnierzyk płócienny stojący, takież mankietki.

Opis czepeczka muślinowego.

Denko czepeczka składa się z kwadraciku muszlinowego lub z nanzuku wyciętego w całości podług numeru 17-go wzdłuż linij środkowéj, składając materjał podwójnie, które się przyozdabia przez środek wstawką gipiurową na podwleczeniu różowem i koroneczką w około. Dolny brzeg u dołu obszyty haftowaną wstawką, 2 centy. szeroką, bufką muślinową i falbaneczką 4 centymetry szeroką. Przedni brzeg czepeczka obszyty jest paskiem $1\frac{1}{2}$ centy. szerokim, jak to forma pod numerem 18 wskazuje.



Czepek muślinowy (krój Nr. 17 i 18 na dodatku z formami do przeszłego numeru Tygodnika Mód).

Pasek ten złożony nad czołem w fałdę, tworzy dosyć głęboki ząb i oprócz tego fałduje się jeszcze przyszywając go do czepeczka. Garnirowanie z przodu składa się z gęsto fałdowanych pasków muślinowych, obszytych wązką koroneczką i z pukielków różowéj wstążeczki $1\frac{1}{2}$ centy. szerokiéj.

Przyszycie garnirowania nakryte jest 3 centy. szeroką wstążką różową. Bandaże muślinowe do wiązania gładko obrębione.

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)

Dodatek do Nr. 23 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 27 Maja (8 Czerwca) 1867 r.

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA CHATRIAN.

—

(Dalszy ciąg).

Na te słowa wszyscy parsknęli głośnym śmiechem.

— Ha! pan mer! pan mer! wołali na wyścigi — jakież to szczęście!..

Pan Horacy powstał i z powagą podał mu krzesło.

— Racz pan usiąść — rzekł — przyjmij filiżankę kawy.

— Oh! panie naczelniku, wdzięczny jestem — to zbyt wiele honoru dla mnie.

Usiadł, podano mu kawę.

Paryżanie radzi byli z gości. Cyprjan żałował, że mer nie przybył wcześniéj — by obecnością swoją nadać uczcie urzędowy charakter.

Na ten komplement pan Zacharjasz pochylił głowę, tak że sięgnął długim nosem w głąb filiżanki.

— Mnie raczéj wypadałoby żałować, odrzekł z uniżonością. Jakiżby to był zaszczyt dla mnie, prostego urzędnika wiejskiego, zająć miejsce przy stole obok luminarzy wieku, obok ludzi uprzywilejowanych nauką, geniuszem, którzy przybyli spełnić wielkie dzieło narodowe. Tak, zaszczyt to dla mnie nieporównany.

Podobały się wszystkim owe pochlebne słowa.

— Ten mer, człowiek dorzeczny i wymowny — pomyśleli w duchu, wart szacunku naszego.

— Wdzięczni jesteśmy bardzo za uznanie — odrzekł pan Cyprjan, panie merze — chciéj przyjąć kieliszeczek kirszu.

— Z pawdziwą przyjemnością... Jednakże—dodał pan Zacharjasz prostując się, jednakże i w skromnym zawodzie moim, zdarza się niekiedy sposobność, oddać posługę społeczeństwu, przyłożyć się czynnie do postępu cywilizacji dla któréj panowie tak zaszczytnie pracują. Dziś naprzykład...

— Jakże to było — przerwał Cyprjan — chciéj nam pan opowiedzieć.

— Tak panowie!... dziś otworzyłem oczy radzie municypalnéj, i przynoszę jednomyślne podpisy na drogę żelazną. To uprząta wiele trudności.

I mer opowiedział z dumą zajście ze starym Rockiem, wystawiając niebezpieczeństwo na jakie był narażony, — gdyby nie bohaterska odwaga młynarza.

Wszyscy okazali wielki podziw. Pan Horacy przypomniał sobie starego kowala, w czerwonéj kamizeli, wielkim trójkańczastym kapeluszu, z długim zagiętym nosem i siwemi oczyma.

— Tak to on — rzekł pan Zacharjasz — otóż wykluczyliśmy go z rady.

Pan Cyprjan miał coś odpowiedzieć — gdy jeden z paniczów, stojąc w oknie zawołał na głos.

— Co widzę, Julietta?

I powstał głośny okrzyk — wszyscy pobiegli do okien, pan mer został sam jeden u stołu przy filiżance kawy. Nikt już nie myślał o nim, on jednak czuł się uszczęśliwiony i uśmiechał się jakby wszyscy poglądali jeszcze na niego.

Powszechna uwaga zwróciła się na wielki wóz drabiniasty pełny wystrojonych pań, toczący się od strony Phalzburga.

Młode kobiety strojne w jedwab', kwiaty i pióra, zwróciły uwagę powszechną. Wieśniacy z uniesieniem poglądali na ich wdzięki i głębokim czcili je pokłonem.

Wóz toczył się z góry gręznąc w piasku po same osie. Julietta siedziała na przodzie, w błękitnéj jedwabnéj sukni, za nią Malwina wysoka brunetka ubrana różowo, pierwsze miejsce zajęła piękna Dianna z czarnym okiem i bladą cerą — strojna w białą muślinową sukienkę... Za paniami widać było cały rój suberetek, szczebioczących na wszystkie tony jak ptaszęta. Wśród tego grona, siedział na wozie młody blondyn, przybrany w suknie nankinowe i biały krawat — twarz miał rumianą, pełną— oko błękitne. Był to pan Anatol — sekretarz pana Horacego.

Wszyscy goście z pod Łabędzia, wybiegli na przeciw zbliżającego się wozu. Horacy zcisnął rękę Dianny.

— Drogi Anatolu — zawołał — jakież to poświęcenie — poznaję twoją przyjaźń.

Anatol westchnął ciężko.

— Czegożbym, rzekł — nie uczynił dla ciebie mój drogi. Prawdziwie odwaga żon waszych i kuzynek godna podziwienia. Co do mnie upadam od trudu: I to rzekłszy otarł twarz batystową chusteczką.

W około wozu słychać było głośne okrzyki:

— Julietto! Malwino! Cyprjanie!

Nareszcie wóz stanął przed oberżą. Paryżanki zsiadły zgrabnie, lekkie jak piórka, i pobiegły na górę z głośnym śmiechem. Wieśniacy poglądali zdumieni.

X.

Przepowiednie Daniela Rocka poczęły się wypełniać. Odwieczna osada Felzenburgska, gdzie od tylu wieków panował cichy spokój, gdzie żyły w sercach odwieczne tradycje, gdzie kwitła nieskażona wiara praojców niezmąconéj ciszy — miała doznać gwałtownego wstrząsnienia.

Po przybyciu paryżanek, wzmogła się powszechna wesołość. Przez całą godzinę słychać było tylko śpiewy, tańce, szczękanie butelek i kieliszków. Szyby trzęsły się w całym domu.

Młode panie, pozrzucały kapelusiki i szale, w pląsach rozbiegły się po sali. Pan mer Zacharjasz przyparty plecami do ściany, wytrzyszczył oczy i przyglądał się z zajęciem. Schwartz stał w progach domu swego, a matka Orchel zadziwiona w kuchni.

— Jezus Marja! wołała biedna kobieta, cóż to się dzieje?.. O mój Boże! mój Boże! jeżeli to potrwa z jaki tydzień — zginęliśmy ze szczętem... Dom zawali się, jak Bóg w niebie!

Przed wieczorem nastąpiła chwilowa cisza. Paryżanki szczęśliwe jak królowe, stanęły w otwartych oknach. Nie długo to potrwało. Mrok zapadł,... wołano ze wszystkich stron o światło.

— Szampana! szampana odezwały się liczne głosy — ze szczękiem talerzy i noży.

Schwartz zapalił miedzianą lampkę — wniósł ją do sali i spostrzegł jak młode panie, siedząc w około stołu, trzymały w ustach zapalone papierki i wybijały takt trzonkami nożów —wołając chórem: szampana! szampana!

Oberżysta zbladł— przystąpił do naczelnika i szepnął mu na ucho że nie ma szampańskiego wina w całym Felzenburgu, że wcale nie mają go we wsi.

Naczelnik zerwał się z krzesła — założył ręce, i krzyknął grzmiącym głosem.

— Nie macie nic, ani lodu, ani cygar—ani szampana! nic co się zowie nic!

— Oddałem wszystko co miałem w domu—rzekł Schwartz — jeśli panom nie dosyć na tem — przenieścież się w Imię Boże do sąsiada mego Kalba, jam nie przywykły do takiego harmidru.

— Nie przywykłyś panie oberżysto? a więc zaprawiemy ci uszy. Przywołać nam zaraz klarnecistę.

— Tak — tak klarnecistę! zawołano chórem.

I paryżanki zerwały się od stołu i w pląsach obiegały salę — wołając chórem.

— Szampana! Szampana!

— Panie merze — zagadnął Schwartz, chciéj pan przywołać ich do porządku.

— Ale pan Zacharjasz Piper, nie myślał zadość uczynić woli oberżysty.

— Twoja wina panie Schwartz— zawołał z gniewem — powinieneś mieć wszystko. Czemże oberża bez szampana? Wstyd, hańba dla wsi... Wynoś się z Felzenburga, natychmiast oskarżę cię przed panem podprefektem.

Pan Zacharjasz tak był oburzony, że pan Horacy rad nie rad musiał wdać się w tę sprawę.

— Skoro pan naczelnik tego żąda, odparł mer — dam pokój zaskarżeniu, ale biada ci jeśli do jutra nie będziesz miał szampana! Jakto, śmiałeś powiedzieć tym zacnym panom, którzy przybyli tu, aby uszczęśliwić kraj przynosząc mu światło cywilizacji, tyś śmiał powiedzieć, że niemasz szampana? że mogą poszukać go gdzie indziéj? Wstydź się, ja sam rumienię się za twoje grubjaństwo.

Tak mówił pan mer, pełen szlachetnego oburzenia młode panie mówiły między sobą.

— Ma szłuszność ten mer... powiedział piękne rzeczy. My przynosimy światło cywilizacji, pomiędzy dzikich... należało wszystko przygotować, tymczasem odmawiają nam szampana.

I oczy wszystkich zwróciły się na Schwartza, z gniewem i pogardą. Odszedł biedak przekonany o swéj winie.

Wrzawa wzmagała się coraz bardziéj: odgłos okrzyków rozległ się o skały Felzenburga. Butelki i szklanki szczękały — noże biły o stół z łoskotem. Paryżanki widząc że mają za sobą mera — domagały się szampana, coraz głośniéj.

Wśród powszechnego zgiełku — dał się słyszeć przeraźliwy ryk osła.

— Wszyscy umilkli, a po chwili parsknęli głośnym śmiechem.

— Tego jeszcze brakło do całéj orkiestry, zawołała Juljeta—przybywa w samą porę.

— Pyszny bas rzekł Anatol.

Ryk osła dawał się słyszeć coraz bliżéj, aż nakoniec umilkł.

— Jaka szkoda! rzekła Malwina.

— Szampana!—szampana! powtórzyły znów liczne głosy.

— Oto jest — oto jest — odezwał się głos jakiś z po za domu — hę — hę — hę.

Wszyscy pobiegli do okien, i z podziwieniem ujrzeli siwego starca, zgiętego we dwoje, z bystrym wzrokiem i nosem haczykowatym. Był to Eljasz Blum— w każdéj ręce trzymał długą butelkę z szyją połyskującą srebrnym papierkiem.

— Otóż i szampan! zawołano—silna wola zwycięża wszystko.

— Poczciwy stary wołały wszystkie głosy.

— Hę—hę! wiedziałem że mnie panowie z radością powitacie.

W téj chwili weszła służąca, wnosząc na tacy długie kryształowe kieliszki.

Eljasz o niczém nie zapomniał.

— Korki strzeliły z hukiem—Horacy trzymał jedną butelkę, Cyprjan drugą — panie nadstawiały kieliszki.

— Wyborne wino — zawołał Horacy—ale gdzież się podział nasz stary?

Eljasz wyszedł na chwilę i powrócił znów, niosąc cztery butelki szampana — dwie pod pachą, dwie w ręku.

Trudno opisać radość — zdziwienie wszystkich.

Horacy wstał od stołu, wskazał przy sobie krzesło

Eljaszowi, ale stary lis, nie chciał przystać na taki zaszczyt.

— Panie naczelniku — wołał rozczulony—nigdy sobie tego nie pozwolę. Szczęśliwy jestem żem dogodził panom. Robiłem co mogłem, wszak to powinność moja. Panowie jesteście dobroczyńcami kraju — wspieracie handel... a ja lubię handel... Ile razy przejeżdżam przez te góry od pięćdziesięciu lat, serce mi się kraje gdy widzę, że kura ledwie tu warta dwanaście sous, mogłaby być warta czterdzieści i że drzewo nie ma tu żadnéj wartości. Myślałem sobie nieraz, co tu pieniędzy straconych! aj aj! co pieniędzy straconych dla tych biednych ludzi!.. Gdyby zaś były drogi— gdyby te piękne dęby przewieść do Paryża, gdyby te woły, te krowy i barany, pokazały się tam na targu... płaconożby je złotem! Nigdyż to myślałem, nie będzie drogi żeby ztąd wywieść te bogactwa? I otóż pan naczelnik przybywa do nas i spełnia to o czem biedny Eljasz myślał przez lat pięćdziesiąt. I żony panów inżynierów przyjeżdżają też za mężami — to mnie rozczula... trzebaby mieć twarde serce, żeby nie pospieszyć co tchu na ich powitanie!

Tak mówił stary żyd z udaną dobrodusznością.

Wszyscy dziękowali mu całem sercem. Pan Anatol uścisnął mu rękę.

— Tak mój panie — rzekł — jeżeli w każdem miejscu znaleść można głupców i grubjan — wszędzie też są ludzie rozumiejący rzeczy, i nieobojętni na sprawę postępu. Siadajże pan koło mera — i wychyl kieliszek szampana razem z nami.

Eljasz nie mógł odmówić.

Uczta przeciągnęła się późno w noc. Śpiewano, tańcowano słowem obchodzono wesoło rozpoczęcie drogi żelaznéj. Około północy pan Cyprjan z lampą w ręku, odprowadził na dół z wielką ceremonją — pana Zacharjasza Piper i Eljasza Blum.

Horacy rzekł do Eljasza przy pożegnaniu:

— Brakuje nam wszystkiego w téj oberży... potrzeba nam koniecznie człowieka zręcznego i znającego dobrze miejscowość, aby nas opatrzył w różne rzeczy... Bądź tu pan jutro — pomówiemy obszernie o tem.

Eljasz człowiek postępu i mer Zacharjasz powrócili każdy do siebie — kołysani błogą nadzieją.

Wieś cała pogrążona była we śnie — wszystkie światła zagasły... i pod Łabędziem nastąpiła cisza po całodziennéj wrzawie.

XI.

Wieść o przybyciu inżynierów do Felzenburga jak błyskawica rozbiegła się po górach. Przekupnie handlujący drobiem, bydłem i ogrodowiną, słudzy pocztowi i kontrabandziści, słowem ci wszyscy, którzy przebywali drogę z Houpe do Sawerny z Harbergu do Phalzburga, rozsiewali nowinę po okolicy, przybierając ją po swojemu. Opowiadali, że liczne towarzystwo, złożone z wielkich panów, i bogatych pań — strojnych w jedwab i złoto, zamieszkało w Felzenburgu w oberży Schwartza; że nowoprzybysze, wyprawiali codzień świetne uczty, nie odmawiając sobie niczego co im przeszło przez głowę; że omijali kościół i nie chodzili wcale na nauki ojca Niklaus; że całą ich religją było jeść, pić, słowem pędzić życie przyjemnie i wesoło; że panowie w kaszkiecikach haftowanych srebrem, chodzili co rano do lasu, prowadząc z sobą licznych robotników; tam zatykali drągi, przyglądali się przez szkło, kazali tu i owdzie wycinać zarośle i drzewa, i stóletnie dęby padały jak trawa pod siekierą, a nikt nie wiedział co z tego będzie. Żony tych panów przybrane zawsze w bławat i klejnoty, śmiały się, tańcowały, paliły cygara, i przejeżdżały się na osłach ojca Benedum, z niejakim panem Anatolem, który je zabawiał gruchając jak gołąbek. Słudzy tymczasem pod przewodnictwem starego Eljasza, rozbiegali się na wszystkie targi Alzacji i Lotaryngji gdzie skupowali najrzadszą zwierzynę, najpiękniejsze ryby, owoce i przysmaki wszelkiego rodzaju. Przywożono z Renu żywe karpie w beczułkach, ze Strazburga pasztety z wątróbek gęsich, i inne tympodobne rzeczy, a stary Eljasz, kręcił się na swoim ośle i sam doglądał kupna, wybierając co było najlepszego. Rozpowiadano nakoniec, że na wielkich wozach, sprowadzano z Phalzburga, piękne sprzęty, połyskujące dziwnie na słońcu; że jakiś pan w okrągłym kapeluszu, przyjechał umyślnie z Paryża, i wybijał kobiercami pokoje w domu Schwartza — na ścianach zawieszał zwierciadła a w oknach jedwabne zasłony.

Takie to cuda rozpowiadano w okolicy — i wieści biegały od wsi do wsi — od miasta do miasta. O niczem innem nie mówiono tak po dworach jak po chatach wieśniaczych, rozprawiały o tem i żniwiarki na polu, i piastunki w lesie — i dziewczęta przy kołowrotku. Głucha wieść krążyła nawet o jakichciś olbrzymich pracach — o drodze żelaznéj która ma na wylot przebić górę, o wielkim moście co ma połączyć Sawernę z Czarnym lasem. Mówiono że każdy robotnik może zapracować na dzień cztery do pięciu franków.

Wszystko to radowało szczerze włościan, kobiety zaś przeciwnie, przypominały sobie, że przed końcem świata antychryst przybędzie z pierścionkami złotemi, kolczykami i szatami z jedwabiu, i mnóstwem podobnych mamideł, a lubo przejęte trwogą, niemniéj jednak ciekawe były widzieć, co się też dzieje w Felzenburgu.

To też w następną niedzielę, pod pozorem nabożeństwa ciągnęły ku wsi niezliczone tłumy mężczyzn niewiast i dzieci, młodych i starych; w kapeluszach trójgraniastych, w koszulach i w szlafmycach, piechotą i wózkami. Rzekłbyś, iż ród ludzki zbiera się na Józefową dolinę.

Byli tam i starcy, którzy od piętnastu lat nie wyszli za próg domu swego — w perukach z harcabem w krótkich spodniach, i w papuzim fraku z wielkiemi stalowemi guzami; były i stare matrony, z trzęsącą się głową — w bławatnych sukniach w wielkie kwiaty — zabytkach zeszłego jeszcze wieku. Były i drobne dziatki trzymające się spodnic matczynych, i starsze pacholęta przybrane w szpancerki albo niebieskie bluzy.

Na widok owych tłumów, każdy musiał przyznać, że wiek nasz jest wiekiem światła i postępu.

Chmary ludu zalały Felzenburg; jedni umieścili się w oberżach i gospodach — drudzy musieli nocować pod gołem niebem.

Około południa, lud posiliwszy się i podchmieliwszy sobie nieco, otoczył w koło oberżę pod Łabędziem, a widząc zasłony zapuszczone w oknach: począł krzyczeć na głos, że chce widzieć panów inżynierów i ich żony.

Zgiełk tak był wielki, i że najstarsi wieśniacy złożyli na prędce naradę, wyprawili z pomiędzy siebie deputacją, dla uczczenia dobroczyńców kraju.

Wybrano więc Hanza Brennera drwala, Karla Dannbach leśniczego, i kilku innych z pomiędzy wiejskiéj starszyzny, wybrani uroczyście weszli na piętro podczas gdy lud wykrzykiwał na głos:

,,Chcemy widzieć panów inżynierów, chcemy widzieć ich żony!"

W téj chwili właśnie panowie i panie dokończali śniadania w jadalnéj sali.

Piękne paryżanki paliły papierosy — pan Anatol przygrywając na fortepianie śpiewał piosenkę z Cyrulika.

Serce poczciwych prostaczków biło gwałtownie na myśl, że mają stanąć w obec wielkich świata. Naradzali się po cichu, czy otworzyć klamkę, kiedy Schwartz, który wychodził właśnie z piwnicy z koszem butelek, spostrzegł ich czających się u progu.

— Czego chcecie? zapytał.

— Wieśniacy opowiedzieli rzecz całą.

— Dobrze — zaczekajcie chwilkę ja wam wszystko ułatwię — patrzcie na te butelki. Każda z nich kosztuje pół ósma franka. Eljasz sprowadził z Sawerny, to białe wino musuje tak jak piwo — a skoro go panowie zakosztują, weselą się i śmieją ze wszystkiego. Zaczekajcie chwilkę w sieni, natychmiast przyjdę po was.

Wieśniacy usunęli się — a Schwartz spełnił co przyrzekł.

Paryżanki, rade były deputacji, rozkazały czemprędzéj wprowadzić ją do sali.

Starzy górale weszli z uroczystą powagą. Karl Dannbach przedstawił żądanie zgromadzonych wieśniaków; jedna z pań Julieta, odpowiedziała z godnością.

Skoro wasze wsie tak pragną nas widzieć, staniemy natychmiast na balkonie i każdy przypatrzy nam się do woli.

Panowie inżynierowie nie odrzekli słowa, skinęli tylko głową na znak przyzwolenia: starzy górale odeszli, i oznajmili radośnie dobrą wieść niecierpliwemu ludowi. Wysławiali przytem pod niebiosa, piękność pań i uprzejmość panów inżynierów.

W kilka minut potem, roztwarto wszystkie okna sali. Paryżanki ukazały się — głośne okrzyki zagrzmiały po dolinie.

Rozpoczęto pochód. Na czele wystąpił Feifer z klarnetem — Weinland z ogromną trąbą i Tobiasz Diemer z rogiem myśliwskim. Każda wieś przechodziła osobno pod oknami: lud podskakiwał w pląsach, rzucał w górę kapelusze, czapki i szlafmyce — wykrzykując co siły:

— Niech żyje droga żelazna! niech żyją inżynierowie! niech żyją piękne panie!

Była to scena rozrzewniająca.

— Dziewczęta wiejskie przechodząc rzucały gałązki brzeziny, młodzi górale, z rudą kędzierzawą czupryną głośno wykrzykiwali, rzekłbyś że to gromada głodnych wilków.

Było się czego lękać.

I pochód przeciągnął się do godziny piątéj wieczorem. Wówczas panie uszczęśliwione tem wszystkiem co zaszło, zasiadły do obiadu.

Niepodobna obliczyć, ile w tym dniu pamiętnym wyszło w Felzenburgu sera, kiełbas, szynek, wina i piwa: zapewniano, że w gospodach przybysze z okolicy zostawili z górą sześćset franków. Była to wyborna gratka dla miejscowego ludu.

Tak to cywilizacja pojawiła się w górach Wogezkich.

XII.

Po tak świetnym tryumfie cywilizacji w Felzenburgu, drwale powrócili do lasu, kumoszki do kołowrotków, inżynierowie do pracy, i wszystko przybrało zwykłą postać.

Nic też dziwnego że młode panie, przebiegłszy góry i zwiedziwszy mejscowe osobliwości; kaplicę w Dagzberg, ruiny Nidchu i Baru, grotę w Walscherd, hutę szklanną w Walerysthal, nic dziwnego powtarzam, że młode panie poczęły się nudzić i z tęsknotą myśleć o Paryżu.

— O! jakież życie jednostajne—mówiły ziewając, jak też dzisiaj czas zabijemy?

Posłyszał to Eljasz Blumm, zadumał się i powodowany zwykłą usłużnością, wymyślił w głowie nowy projekt.

— Moje panie — rzekł — nudno to patrzeć zawsze na lasy, potoki i ruiny... poziewacie też i wzdychacie do miasta, czemu ja się nie dziwę. Umysły delikatne muszą koniecznie lubić zmianę. Zawsze tylko góry i góry — to w końcu znuży oko. Otóż ja powiem paniom, żem wam jeszczcze nie wszystko pokazał; że ten kraj ma osobliwość rzadką nad wszystkie kaplice, jedyną w swoim rodzaju; zachowałem to na ostatek.

Młode panie spojrzały ciekawie, żyd mrugał oczyma i uśmiechał się tajemniczo.

— I cóż takiego spytała Juljetta.

— Eljasz odsunął firankę, ukazał palcem zwaliska Felzenburgskiego zamku, i szepnął cichym głosem:

— Patrzcie panie tam, na to gniazdo puszczyków, zarosłe jeżyną, zawalone gruzami: tam mieszka stara czarownica.

Poruszył ramionami i złożył obie ręce.

— Wiem ja dodał, że panie wychowane na wielkim świecie, i uczone we wszystkich rzeczach, nie wierzą w czarownice,.. ale tutejszy lud w nie wierzy. Jest to więc stara kobieta, ale tak stara.. tak stara.. że ja Eljasz jestem przy niéj tak, jakby dziesięcioletnie dziecko przy Matuzalu. Téj starej na imie Fuldrada; żyje z dwoma kozami, karmi się ich mlekiem i przepowiada przyszłość.

(d. c. n.)



Paul Lacourière P. Gilquin fils. imp. r. des Fossés St. J. J. Paris Morin Sc.

3570

TYGODNIK MÓD

w Warszawie